Paweł Szumił

PRZYCZYNEK DO PYTANIA O SENS ŻYCIA

Opowiadanie VIII cyklu

**SŁOWO O SMOKU**

**Tłumaczył z rosyjskiego**

**Jacek Izworski**

Tytuł oryginału**:** K BОПРOCY O CMЫСЛЕ ЖИЗНИ

PRZYCZYNEK DO PYTANIA O SENS ŻYCIA

(Opowiadanie)

 Ależ mi się chce samicy! Ba, żeby ktoś o tym wiedział! Jeszcze pięć lat muszę wytrzymać. Później będzie lżej. Usuną sputnik obserwujący i uzyskam swobodę działania Siedzę pod ziemią jak kret.. Dwadzieścia lat tej katorgi… A wszystko przez małą pomyłkę.

 Wchodzi Olga, widzi, że źle się czuję i głaska mnie po policzku.

 – Niedługo przeleci sputnik i będziesz mógł wyjść na górę.

 – Po co?

 – Może poczytać ci na głos?

 – Nie.

 – Pojutrze wiosenne święto urodzaju. Pojawi się u nas nowa.

 Udaję, że jestem zafrasowany tą myślą. Każę Oldze sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na przyjęcie.Oczywiście dawno wszystko sprawdziłem. Dobrze też, że sputnik przez prawie miesiąc nie pojawi się nad naszym rejonem.

 Ależ chce mi się samicy! Choć na sekundę poczuć pod dłonią aksamitną błonkę jej skrzydła, spojrzeć na dumnie wygiętą szyję, utonąć w głębinie ciemnoniebieskich oczu…

 Nieprzypadkowo wylądowałem w tych górach. Grawilokator wskazał, że po wzniesieniu się płaskowyżu i zaniknięciu napięcia tektonicznego zostały tu obszerne podziemne pustki, w których postanowiłem schować kuter. Potem należało od razu położyć się w anabiozę. A ja z nudów zacząłem badać pieczary, łączyć je przejściami i wieszać na nich tabliczki z nazwami, aż doszedłem do krateru wygasłego wulkanu. I wtedy w moim pobycie na tej planecie pojawił się jeśli nie sens, to surogat sensu, gdyż z góry na kupę kości zaścielających jaskinię spadła świeżo odcięta ludzka ręka. Przysiadłem, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Była odcięta aż po ramię i jeszcze krwawiła. Rozwalając stary szkielet spadła druga ręka. Cofnąłem się do tunelu, i słusznie, gdyż z góry spadły nogi, a sekundę po nich ciało z głową. Była to młoda dziewczyna z zastygłym na twarzy grymasem bólu i szeroko otwartymi oczami pełnymi przerażenia. Odrąbane ręce i nogi ostatni raz drgnęły i zamarły. Chciałem ją zanieść na kuter, ale tył głowy miała miękki, czyli uszkodzony mózg. Zamknąłem jej oczy – to było jedyne, co mogłem dla niej zrobić. Tak poznałem rytuał wiosennego święta urodzaju.

 „Obrzędy wiosennego i jesiennego święta urodzaju połączone są z ofiarą z ludzi. W obu przypadkach na ofiarna ofiarę przynoszą młodą dziewicę, której ciało rozrąbują na części, dzielone między bóstwa: matkę-Ziemię, boga ciepła słonecznego, boginię deszczowej wilgoci, boga wiatru-powietrza i obrońcę urodzaju. Krwawiącą ofiarę i jej obcięte kończyny wrzuca się do krateru wulkanu Ayger. Obrzęd jesiennego święta różni się tylko tym, że przed rozczłonkowaniem pozbawia się ofiarę dziewictwa za pomocą specjalnego urządzenia” – przeczytałem, przeszukując informatorium statku. Nie myślcie, że od razu postanowiłem skończyć z tym okrutnym zwyczajem. Kimże jestem, żeby mieszać się do historii tego świata? Już sam mój pobyt tutaj graniczy z przestępstwem, gdyż Elana wciąż jeszcze jest zamurowana w zamku Kongów, a strażniczy sputnik krąży nad planetą. I nawet nie chodzi o to, że Elana jest moją babcią, o czym nie wie, albo o jej rolę w historii.

 Ciekawość mnie zgubiła. Z powodu naukowej ciekawości naruszyłem zakaz prowadzenia potencjalnie niebezpiecznych badań. Teraz dobrze rozumiem jego powody.Z ciekawości poszedłem badać pieczary zamiast położyć się w anabiozę, ustawiwszy timer przebudzenia na pięćdziesiąt lat, czyli do czasu, z którego przybyłem. Mógłbym i teraz położyć się w anabiozę na trzydzieści lat, ale lepiej poczekać, aż Elana wyjdzie, a smoki usuną z orbity sputnik. Jeśli moje dziewczyny za wcześnie wyjdą w świat, to może zepsuć wszystko.

 Dosyć tego narzekania na swój los. Wytrzymałem dwadzieścia lat, wytrzymam jeszcze pięć. Wstaję i idę sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na przyjęcie nowej. Najpierw sprawdzam napięcie lin dźwigarki górnej sieci, która ma za zadanie obrócić ciało na płask, jeśli spada, na przykład, głową w dół. Liny naciągnięte są słabo i łatwo się luzują. Sieć rozpościera się na wysokości dwudziestu pięciu metrów nad podłogą, a na wysokości dziesięciu metrów druga, mocna i sztywna. Właśnie ona hamuje ciało po stu czterdziestu pięciu metrach swobodnego spadania. Dlaczego łapię ciała siatką, a nie poduszką antygrawitacyjną? Psychologia. Kilka pierwszych dziewczyn złapałem mięciutko jak spadający puszek. I co? Wszystkie, oprócz Olgi, przekonywałem tygodniami, że nie są ani w raju, ani w piekle, tylko żywe i zdrowe. Lądowanie na dobrze naciągniętej sieci pomaga uświadomić sobie realność cudownego ratunku. A fakt, iż od tej realnościtrzy dni bolą wszystkie kości, przegania z głowy wszystkie myśli o świecie pozagrobowym.

 – Jednak nie wytrzymałeś – uśmiecha się Olga.

 – Źle jest naruszać tradycję. Zawsze sprawdzałem osobiście.

 – Nauczycielu, nie męcz się. Połóż się w anabiozę. Poradzimy sobie same, daję słowo. I obudzimy ciebie zaraz po tym, jak usuną sputnik.

 Nic nie odpowiadam, zresztą Olga nie oczekuje odpowiedzi. Wszystko było już wielokrotnie powiedziane. Po prostu Olga nie wie, jak ukoić mój smutek. Ją pierwszą uratowałem i od dwudziestu lat jest ze mną, oddana mi ciałem i duszą. Dwa lata temu przeszła odmłodzenie.

 Długo myślałem, jak zakazać kapłanom zabijania i ćwiartowania dziewczyn. –Wymyśliłem dwa piktogramy. Na pierwszym poćwiartowana dziewczyna, przekreślona na krzyż. Na drugim ta sama dziewczyna ze związanymi rękami i nogami. Dlaczego związanymi? Bo trupa związywać nie trzeba, i tak nie ucieknie. Związywać trzeba ŻYWEGO. Kapłani, tragarze, wielki tłum gapiów i sama Olga zobaczyli ogniste rysunki na pomoście, na którym zwykle ćwiartowano dziewczyny. Błyszczące linie powoli bladły, aż znikły zupełnie, a kapłani ciągle jeszcze omawiali to, co widzieli. W końcu, po mniej więcej godzinie omawiania, uwolnili kończyny Olgi z uchwytów noszy, rozebrali ją, związali i z rozmachem wrzucili w czeluść krateru. Olga śmiała się i płakała ze szczęścia, gdyż pozłacanych mieczy kapłanów bała się bardziej niż śmierci. Śmiała się i płakała, gdy ją wziąłem na łapy i niosłem korytarzami. Wzięła mnie za dobre bóstwo, wysłane, by ją uratować. A czy kogoś takiego można się bać?

Żeby pokazać swoje zadowolenie, w nocy zapaliłem nad Aygerem niewielką zorzę polarną. Teraz to się już stało tradycją: zorza polarna w nocy po złożeniu ofiary. Czasem w tym celu muszę rozpędzić chmury. W inne dni nie mieszam się do pogody.

 „I tak nas wszystkich myśl zamienia w tchórzy…”. Nie, to nie mój przypadek, Szekspir nie pisał tego o mnie. Ode mnie nikt nie wymaga siły ani odwagi, moim losem jest wegetacja.

 Otacza mnie grupa pięciu wesoło szczebioczących dziewczyn.

 – Nauczycielu, sputnik za horyzontem. Zawieź nas kąpać się! – proszą.

 – Nóżkami, nóżkami…

 – Nauczycielu! To dziesięć kilometrów przez góry i wąwozy! Żadna przyjemność! Wrócimy brudne i spocone, a jutro przybędzie nowa. No, milutki, no, prosimy!...

 Rzeczywiście potrzebuję ruchu.

 – Dobrze. Zbierajcie się szybko, jedna noga tu, druga tam.

 – Hurra! – Całują mnie gdzie popadło, zrzucają odzież na podłogę, wyjmują z toreb sukienki górskich dziewczyn i biegną przede mną w podskokach do tunelu transportowego.

 Nie mogę skorzystać z zero-t, więc przemieszczamy się starą dziadowską metodą – na kołach. Przeciwny wiatr rozwiewa włosy dziewczyn, unosi do tyłu ich śmiech. Koniec tunelu. Schodzimy z wozu, włączamy ekrany kontroli zewnętrznej. Na zewnątrz nie ma nikogo, więc otwieramy wrota i wychodzimy w oślepiające światło słoneczne. Skrzydła wrót wracają na miejsce i są nie do odróżnienia od skał. Z piskiem i żartami dziewczyny włażą na mój grzbiet, układają się, umieszczają torby. Startuję, z wysiłkiem nabieram wysokość. Otwiera się cudna dolina, rajski zakątek. Nieduże czyste jezioro, zasilane górskim strumieniem. Lecimy tam.

 – Mężczyzna! Patrzcie, mężczyzna!

 Zaraz się zacznie... I będę musiał ustąpić. Bo dziewczyny nie mogą czuć się zamknięte w więzieniu. Bo one są młode, piękne, silne, a natura wymaga…

 – Najlepszy, najmilszy! No, prosimy! Przecież sam wszystko rozumiesz.

 – A jeśli coś się stanie?

 – Nas jest pięć, on jeden. Co może się stać? Wylądujemy na tej polanie, dobrze?

 – Mam na myśli: jeśli stanie się to, o czym marzycie.Jeśli któraś z was, trzpiotek, urodzi dziecko, rozpieścicie je, a potem ja będę z niego robił człowieka. – Cała piątka pąsowieje.

 – Będziemy robiły wszystko jak powiesz, nauczycielu.

 Teraz są gotowe obiecać mi wszystko, czego tylko zapragnę. Oczywiście, taki egzemplarz nie trafia się codziennie. Pierwszy raz widzę w tej okolicy wędrownego rycerza.

 – Selma, dowodzisz. Jeśli wyłączysz albo zasłonisz przekaźnik, wyłażę zza drzew i idę was ratować.

 Korzystając z osłony wzgórz, obniżamy lot, przeganiamy dzikiego turystę i lądujemy na jego drodze. Dziewczyny zeskakują ze mnie i zajmują pozycje, a ja szybko chowam się w najbliższym parowie.

Jeźdźca spotykają piskiem pełnym udawanego strachu, po czym otaczają go, głaszczą po kolanach, patrzą z zachwytem z dołu w jego oczy, zadają z pięciu stron po dziesięć pytań na raz. Rycerz powoli omdlewa. Głupi. Ja na jego miejscu ratowałbym się ucieczką, ale on jeszcze nie wie, że za chwilę go zgwałcą.

Gotowe. Już złazi z konia. Koral z manierką w rękach śpieszy do strumienia, pozostałe sadzają rycerza pod drzewem i wyjmują jedzenie. Mężczyzna już jest skazany. Po jego oczach widzę, że mógł zjeść całkiem niezłe śniadanie… wczoraj rano. A tu – pełne torby przysmaków. Wszystkie cztery dziewczyny nadskakują mu i głaszczą go. Wraca Koral, czerwona od długiego biegu i najskromniejsza z całej piątki. Kończy się zapas sera i kiełbasy, zaczynają się opowiadania o czynach rycerskich. Rycerz wyjmuje miecz z pochwy i wszyscy oglądają jego szczerby. Selma zaraz poprosi o ocenę jej umiejętności szermierczych. Tak, już przejmuje miecz i wycina nim dwie pałki. Biedny rycerz, nie wie, z kim ma do czynienia. Już po dziesięciu sekundach Selma rozbraja go i przerzuca przez siebie. Rycerz pada na plecy z wdziękiem pełnego worka kartofli. Dziewczyny klną i odpychają Selmę, po czym rzucają się do niego. Po paru sekundach rycerz jest już rozebrany do pasa, cztery główki przyciskają się do jego szerokiej piersi i słuchają bicia jego serca. Jeszcze sekunda – i jego głowa już nie leży na ziemi, tylko na czyichś miękkich kolanach. Selma ze łzami w oczach przyciska jego stwardniałą łapę do swojej dziewiczej piersi, prosząc o wybaczenie. Dziewczyny, wszystkie jak jedna, gotowe są odkupić winy i poprawić się. Całują go w wargi. Do diabła, on patrzy tylko na Koral. Dlaczego mu się nie podoba Mira? Przecież Koral to jeszcze dziewczynka. Trzy dziewczyny wstają i odchodzą, zostawiając go z nieco wystraszonąKoral i Selmą. Selma instruuje rycerza co do dziewiczej niewinności i także odchodzi w krzaki.

 – Selma, jak mogłyście! Koral to jeszcze dziewczynka – i zostawiacie ją z takim wieprzem!

 – Nauczycielu, wszystko będzie dobrze. Lepszego chłopa dla niej nie wymyślisz. To nie wieprz, to cielę. Tylko tabliczka zwierzęca.

 Czekamy. Od czasu do czasu któraś z dziewczyn wygląda zza krzaka i komunikuje:

 – Całują się.

 – Pieszczą się.

 – Znowu się całują.

 – No, wreszcie się rozebrali!

 – Nic nie widać. Zasłonili się płaszczem.

 – Znowu się całują.

 – Obejmują się.

 Mija godzina. Dwie. Dwie i pół. Mira i Helena opalają się na słońcu.

 – Porwał ją! Zabiera! – Dziewczyny wskakują na mój grzbiet. – Związał ją, gad! A my do niego całą duszą!

 Bezdźwięcznie podnoszę się w powietrze, rozglądam się. Koń niesie ich galopem, zostawili połowę rzeczy. Koral leży w poprzek siodła ze związanymi rękami i nogami. W ustach knebel, przywiązany chustką, żeby go nie wypluła. Biedny rycerz. Dziewczyny na moim grzbiecie są złe jak furie. Już lepiej by spotkał hordę harpii.

 Koń galopuje po zboczu w górę Musi być bardzo silny. Już jest na wierzchołku. Z drugiej strony wzgórza wznoszę się w powietrze ja – płynnie i bezdźwięcznie, rozpostarłszy ogromne czarne skrzydła i wysunąwszy straszne pazury. Dziewczyny zeskakują z mojego grzbietu, i z obu stron po dwie biorą jeźdźca w kleszcze. Ten wyjmuje miecz. Koral podnosi zapłakaną twarzyczkę. W jej oczach jest rozpacz. Selma i Mira rzucają się z obu stron na rycerza, ściągają go z konia, przewracają na kamienie. Kiepsko to zrobiły, mógłby je obie zabić. Uczyłem je inaczej. Helena i Zuchra przyciskają go do ziemi, wybijają mu z ręki miecz. Rycerz nawet się nie opiera.Koral zrywa z twarzy chustę, wyrywa z ust knebel, spełza z konia, rozwiązuje sobie nogi. Na jej lewym policzku dojrzewa siniak.

 – Coś ty zrobił, gadzie? My do ciebie, wieprza, całą duszą, a ty? Psie! – Selma rozcina spodnie rycerza.

 Nie wiem doprawdy, co z nim zrobić. Widział mnie, więc najlepiej byłoby go zabić. Ale z drugiej strony to rycerz wędrowny, a akurat ci roznoszą słuchy o smokach. Jeden więcej, jeden mniej… Jeśli nawet słuch dojdzie do Elany, po drodze tak się zniekształci, że nikt w to nie uwierzy. A Selma zamierza wykastrować chłopa. Zaczyna się rzucać. Za późno. Zuchra zaczyna go dusić. Surowe czasy, surowe obyczaje. One wiedzą lepiej. Ja tu jestem obcy.

 – Nie trzeba! Nic nie rozumiecie! – Koral rzuca się naprzód, zakrywa dłońmi związanych rąk genitalia mężczyzny. – Nie dam! Rod, kochany, nie pozwolę im ciebie uszkodzić! Kochane dziewczynki, on mnie kocha, chce się ze mną ożenić. Nauczycielu, puść mnie, oddaj mnie Rodowi. Będę milczała, przysięgam na mleko mojej matki!

 Selma usuwa nóż i patrzy pytająco na mnie. Pozostałe dziewczyny też się oglądają.

 – Wiesz przecież, Koral, pięć lat…

 Nie zwracając już uwagi na rycerza dziewczyny w ponurym nastroju wsiadają na mój grzbiet. Selma rozcina więzy na rękach Koral i podsadza płaczącą dziewczynę. Oto i cały pozór wolności: złota klatka.Nie mam prawa zmieniać przeszłości.. Kluczową figu4rą jest tu Elana. Póki ona tu jest, mam związane łapy. We wzorcowym wariancie historii dziewczyny są martwe, w moim żywe, ale nikt nie może o tym wiedzieć. A ten rycerz wie. Pieskie życie.

 Startujemy.

 – Rod! Kocham cię! Szukaj mnie tutaj za pięć lat!

 – Znajdę cię, Koral! Znajdę!

 Biorę kurs na dom. Jeździec biegnie za nami, ale szybko zostaje z tyłu. Na moim grzbiecie dziewczyny zgodnie pociągają nosami.

 – Wzgórza elfów… – mówię nagle i zwalniam lot.

 – Co?

 – Wzgórza elfów. Wewnątrz jedna noc, a na zewnątrz minęło sto lat. Koral, czy ten twój Rod nie przestraszy się spędzenia nocy na wzgórzach elfów?

 – Jak to?

 – Pięć lat komory anabiotycznej. – Znów łzy. Zawracam. – Selma, oddaj przekaźnik Koral.

 Selma rozpina pas i podaje go Koral. Ląduję dwadzieścia metrów przed jeźdźcem. Koral biegnie do niego, on schodzi z konia. Znowu się obejmują, jakby nic innego nie było do roboty. Czekamy na nich, a oni się całują. Dawno się nie widzieli. Kieruję na nich uszy.

 – Nie mogę teraz nic ci wyjaśnić. Sam wszystko zobaczysz. Ale kiedy wyjdziemy, w tym świecie minie pięć lat. Nie boisz się?

 – Spędzić noc z czterdziestoma pięknymi dziewczynami?

 – Głupiś!

 – Tak, jestem głupi. Mądrzy ludzie siedzą domach, a nie włóczą się po górach. A mądre dziewczyny wychodzą za mąż za pierwszych synów, a nie urządzają zasadzki na włóczących się rycerzy, których jedynym majątkiem jest koń i miecz.

 – Nie potrzebuję pierwszego. Mój ojciec był pierwszym Był taki mądry i poprawny, aż uciekłam z domu.

 Czekamy na nich, a oni będą wymieniali życiorysy!

 – Rod! Koral! Czekamy na was przy wrotach.

 Odrywam się od ziemi i lecę w kierunku przeciwnym do wrót.

 – Nauczycielu, gdzie lecimy?

 – Pozbierać rzeczy tych gap.

 W nocy znowu śniła mi się Fala. Kim wtedy byłem? Zielonym młokosem. A ona? Członkiem Zastępu zahartowanym w dalekich ekspedycjach, na „ty” z Wielkim Smokiem. Była na Dublu Pierwszym, dopiero co wróciła z M51, gdzie wszyscy tylko cudem nie zginęli. Powinni byli zginąć.

 Nigdy nie patrzyła na mnie z góry, zaznajomiła mnie z całym Zastępem, to ja nie mogłem patrzeć na nią jako na równą. Musiałem dokonać czegoś wielkiego, żeby jej dorównać. Poprosiłem ją, żeby dała mi na to dwa lata, a uwinąłem się w rok i osiem miesięcy. Wynalazłem maszynę czasu. Wybrałem cichy i spokojny zakątek kosmosu niedaleko Tanty i skoczyłem o pięćdziesiąt lat w przeszłość. Wszystko obliczyłem dokładnie oprócz jednego drobiazgu: niezbędnych zapasów energii. Takie głupstwo w porównaniu z tym, co stworzyłem… Obliczałem w pamięci i pomyliłem się o dwa rzędy. Śmieszne, prawda? Utkwić w przeszłości z powodu wzięcia akumulatorów P5 zamiast P7! Nie minęły dwie godziny, a kanał czasu się zamknął. Dopiero wtedy się zamyśliłem. Jeśli taki szczeniak jak ja w półtora roku może wymyśleć i zbudować maszynę czasu, to czemu nikt tego nie zrobił? Dlaczego Wielki Smok zabronił badań w tej dziedzinie zero-fizyki? Mam na kutrze kabinę zero-t, więc w każdej chwili mogę odejść stąd do każdego z zamieszkałych światów. Ale co ja tam powiem? Że jestem mirażem? Że przyjechałem w gości do babki, uwięzionej na Tancie? Nie, nie ratujcie jej. Niech jeszcze posiedzi w ciemnicy, uratują ją bez was. Głupio? Jeszcze jak! Ale cóż robić, jeśli moja ukochana babcia jest kluczową figurą w historii. Ma postraszyć Mroka, Widebry i Catherine, którzy, uciekając przez cały zamieszkały kosmos, wpadną w epicentrum doświadczenia Łacinian, wylądują na Dublu Pierwszym i wejdą z nimi w kontakt, dzięki któremu Wielki Smok zdąży umówić się co do stworzenia Dubla Drugiego i Trzeciego, Kwantor nie wybuchnie supernową i cały przyległy sektor kosmosu zostanie uratowany. Muszę zachować całą tą linię historii, więc muszę przedłużyć o ćwierć wieku męczarnie mojej babki, a sam przez pięćdziesiąt lat chować się przed wszystkimi. Dobra kara za idiotyczny postępek.

 – Nauczycielu, zaczyna się! Oni już się podnoszą.

 Oglądam się. Koral z siniakiem na cały policzek i jej wędrowny rycerz, umyty, ogolony i uczesany. Oglądam siniak dziewczyny, kiwam głową.

 – Jeszcze dwie godziny będą szli na tą górę, czyżbyś zapomniała?

 – Czy to można zapomnieć? Przez całą drogę stukałam zębami. – Z żartobliwym strachem chowa twarz na piersi swojego mężczyzny.

 Idziemy na spotkanie nowej. Dziewczyny przystrajają się i robią zakłady: jaki nowa będzie miała kolor włosów, posiusia się czy nie, chłopka czy mieszczanka. Na wielkim ekranie pojawia się procesja. Wszystko jak zawsze. Jak widać, niepotrzebnie obawiałem się, że wcześniej czy później, znowu zaczną rozrąbywać dziewczyny na kawałki.

 Procesja wychodzi na placyk przed kraterem. Nosze opuszczają na ziemię. Ależ ona ma surową i stanowczą twarz! Taka mi cały maliniak przewróci do góry nogami.

 Kapłani uwalniają z żelaznych uchwytów jej ręce, związują je grubym sznurem. Pochylają się, żeby uwolnić jej nogi. Jeden z krzykiem leci na bok, drugi skręca się w pozycji embrionalnej. Dziewczyna bije pierwszego z nadbiegających związanymi rękami w twarz i cofa się na sam skraj przepaści ze słowami:

 – No, pasibrzuchy, który do mnie?

 Kapłani okrążają ją półkolem, powoli następują. Ona śmieje się im w twarz i sama, tyłem do przodu, rzuca się w przepaść. Moje dziewczyny krzyczą z zachwytu, a ja liczę sekundy. W szóstej piszczą dźwignie górnej siatki, zaraz potem dolna przyjmuje na siebie ciężki cios, rozciągając się prawie do podłogi. Naciskam przycisk i błękitny krążek nieba zakrywa czarna błona, zapalają się lampy. Dziewczyny krzyczą coś niezrozumiale i podskakują z zachwytu. Rozlega się cichy szum silników dźwigni, opuszczających siatkę na podłogę. Nowa już jest na nogach, gotowa walczyć, ale nagle dostrzega mnie.

Zwykle to mój obowiązek: wyplątywanie nowej z siatki, prowadzenie przez tunel, zaznajamianie z dziewczynami. Tym razem jednak mnie po prostu odpychają. Biorą ją na ręce, niosą całym tłumem, gratulują jej, zachwycają się: ale ona wykiwała tych pasibrzuchów! Olga drepcze z tyłu z nożem, chcąc uwolnić nowej ręce. Gdzie tam! Ogląda się na mnie, ale ja wzruszam ramionami i włączam dźwignie. Sieci odpływają do góry i zajmują położenie robocze. Obejmuję Olgę skrzydłem i prowadzę za pozostałymi. Z tyłu słyszę pytanie:

 – Teraz już wiesz, kim jesteśmy? – Odwracam się. Koral i jej rycerz. Dziewczyna mówi dalej:

 – Jeśli tam, na górze, dowiedzą się, że jesteśmy żywe, spuszczą tu wojowników, którzy wybiją wszystkich. Omal nie zgubiłeś nas wszystkich, kiedy chciałeś mnie porwać.

 – Nie chciałem wam zła. Przecież sama widziałaś: nie tknąłem żadnej z twoich koleżanek.

 – Wierzę ci, kochany.

 Czas się wmieszać. Przyjęte jest, że nową spotyka zawsze cały kolektyw.

 – Koral, Rod, kończcie te całusy.Wszyscy na was czekają.

 Sala świąteczna. Zgodnie z tradycją nowa siedzi koło mnie. Nazywa się Margo. Bawimy się na całego, dlatego nie od razu dostrzegam piętno złodziejki na jej ramieniu. Żeby bogom podsunęli napiętnowaną złodziejkę – tego jeszcze nie było! Pytam ją szeptem, jak to się stało.

 – A co, na tamtym świecie złodziejek nie przyjmują? – odpowiada pytaniem ze złością.

 – Nie obchodzi mnie, kim byłaś na górze. Jeśli chcesz, jutro usuniemy ci to piętno.

 – W jaki sposób?

 – To zwykła blizna po oparzeniu. Ja wiem, jak to się leczy.

 – Kłamiesz. To piętno na całe życie. Nie da się go ani zmyć, ani chować.

 –Po co miałbym cię oszukiwać? Jestem smokiem. Powiedziałem – zrobię.

 Margo zatrzęsło tak, aż zaszczękała zębami. Z wieloletnich obserwacji wiem, że świeżo uratowana płacze średnio półtorej godziny.

 – Nie jestem złodziejką! Wierz mi! Napiętnowali mnie, by sprzedać. By pokonać mą dumę.

 – I co?

 – I to. Im. – Uśmiechając się przez łzy, robi nieprzyzwoity gest. – A do tej jamy trafiłam zamiast innej. Ona ze strachu rano pozbawiła się dziewictwa. Myślała, że się uratuje, głupia – a wbili ją na pal i w pośpiechu nie znaleźli lepszej dziewicy ode mnie. Ale głupia, co? Ja tu żyję i jestem zdrowa, a ona będzie tam na tym palu umierała trzy dni. To ja powinnam na tym palu siedzieć, przygotowali go dla mnie.

 Znam miejscowy zwyczaj. Wsadzają nie na gruby pal, a na cienki, dobrze zaostrzony żelazny czop, który wychodzi nad prawym ramieniem. Na takim czopie umiera się bardzo długo. Ustawiają go na tratwie i puszczają tratwę z prądem w dół rzeki. Stopy umierającego są o metr nad pokładem tratwy, specjalna poprzeczka nie pozwala skazanemu obsunąć się niżej.Zrobiono tak, żeby fale silniej kołysały tratwą i umierającym. Kaźń musi być jak najbardziej męczeńska.

 Patrzę na zegar. Słońce zachodzi za trzy godziny, a sputnik będzie wtedy poza granicą widoczności. Wszystko korzystne dla mnie, pozostaje tylko czekać. Znowu czekać.

 – Olga, przygotuj biowannę.

 – Zrozumiałam.

 – Chcesz dać jej lekką śmierć? Dziękuję ci! – Margo klęka i całuje podłogę u moich łap.

 – Podnieś poprzeczkę wyżej. Chcę ją uratować.

 – Ależ to niemożliwe! Wbili ją na pal! Jak na rożen! Sama widziałam.

 – Mamy bardzo dobrych lekarzy i nastawiaczy kości. Żebym tylko doniósł ją żywą!

 Wieczór zepsuty. Denerwujemy się, wciąż patrzymy na zegar. Olga wypełnia kieszonki mo-jego pasa środkami wzmacniającymi i znieczulającymi w ilości wystarczającej chyba na pięć smoków. Zdejmuję pokrowiec z syntezatora muzycznego, biorę akord i zaczynam śpiewać:

 Dla przystanku brak powodów

 W ślizgu przez życie.

 Nie ma gór – nawet wśród lodów –

 Nie do zdobycia.

 Pośród dróg nieuczęszczanych

 Moja jest jedna.

 Wśród rubieży niezbadanych

 Już za mną jedna.

 Imiona tych, co tu leżą,

 Skrył śnieg, co taje.

 Ja przeszedłem tę rubieżę

 I idę dalej.

 – Nauczycielu, czy to ty napisałeś? – pyta Koral.

 – Coś ty? Ja tak nie potrafię.

 – Wielki Smok?

 – Nie. Człowiek. Bardzo dawno. Słuchaj dalej.

 Patrzę śmiało w swe marzenia,

 Nad wszystkie głowy

 I wierzę w czyste spojrzenia,

 Śniegi i słowa.

 Nawet w dalekiej przyszłości

 Już nie zapomnę,

 Żem tu zabił wątpliwości,

 Co przyszły do mnie. [[1]](#footnote-2)

 – Nauczycielu, już czas.

 Ostro urywam śpiew i wychodzę z sali, zanim milknie ostatni akord syntezatora. Głupie dziewki myślą, że lecę na niebezpieczny, bohaterski czyn. Gdzie tam?! Nawet chodzenie po grzyby do lasu jest bardziej niebezpiecznie.

 Nabieram ostro wysokości. To stara, sprawdzona metoda maskowania się: wzbić się jak najwyżej. Kto w świetle księżyca rozpozna, czy jestem smokiem,czy nietoperzem? A muszę lecieć… 6 razy 14, czyli około 85 kilometrów. Najwyżej sto. Mniej, jeśli prąd przybił tratwę do brzegu.

 Przełączam okulary na podczerwień. Rzeka jak na dłoni, widać każdy szczegół. Pół godziny – i widzę tratwę. Zniżam lot, ląduję obok na wodzie, popycham tratwę do brzegu. Dziewczyna jęczy, bierze mnie za przywidzenie w malignie. Wpycham w nią końską dawkę lekarstw.

 – Dziękuję. Teraz już dobrze, bardzo dobrze, nie boli. Nie zabijaj mnie do świtu. Chcę jeszcze raz zobaczyć słońce. Ostatni raz...

 – Zobaczysz. I jak wstaje, i jak zachodzi – mówiąc to, rozszczepiam belki tratwy i wyjmuję rożen z nabitą na niego dziewczyną. – Nie boisz się wysokości?

 – A czy martwi się czegoś boją?

 – Właśnie, dlatego pytam. Bo jeszcze żyjesz.

 Obejmuję mocno żelastwo, startuję, nabieram wysokości i lecę z powrotem po prostej, bardzo szybko. Olga sygnalizuje podczerwoną latarką, wszystkie pozostałe też na mnie czekają. Ląduję i szybkim marszem na tylnych łapach idę do hangaru. Wchodzę do kutra, gdzie wszystko jest już gotowe na przyjęcie pacjentki. Ale co dalej? Z takim rożnem nie włożę jej do biowanny. Konsultuję się z komputerem medycznym, podaję dziewczynie środek nasenny i kładę ją najpierw na stole tonografu, a potem na otwartym wieku biowanny. Cyberchirurg podłącza sztuczny krwioobieg, a ja wyciągam ten przeklęty rożen, spuszczam ciało do biowanny, zamykam daszek i wychodzę, nie chcąc patrzeć, jak zaraz będzie plasterkowane.

 Dziewczyny czekają za drzwiami.

 – Będzie żyć – mówię, jakby to była tylko moja zasługa. Pędzę do aparatowni i włączam zorzę polarną, z godzinnym opóźnieniem i tylko na parę minut. Niech kapłani wiedzą, że nie jestem z nich zadowolony. – Koniec, nocnice, idziemy spać.

 Podbiega do mnie Koral.

 – Nauczycielu, nie usypiaj nas dzisiaj, proszę. Chcę zobaczyć, czym się skończy z nową.

 – Moje ty nieszczęście! Sama mi powiesz, kiedy was położyć w anabiozę. Bo jeśli ci odbiją kawalera, będziesz gryzła paznokcie.

 Dwa dni później przed kolacją wszyscy razem idziemy budzić nową. Margo jest już uważana za starą. Otwieram wieko biowanny, przenoszę dziewczynę na pościel. Znowu muszę udawać. Jest absolutnie zdrowa, ale nabita lekami po uszy, żeby rano kręciło się jej w głowie i nie miała siły podnieść ręki. Musi poczuć się chorą i słabą, w przeciwnym razie nie uwierzy, że żyje i zacznie wygłupy z mistyką. Śpi, siedzimy, czekamy. Margo przeciska się do mnie.

 –Nauczycielu, po co to wszystko? Po co my ci jesteśmy potrzebne? Nie jesteśmy przecież niewolnicami?... – Ni to pytanie, ni to stwierdzenie.

 – Rozmawiałaś z Olgą? – Potwierdza ruchem głowy. – Więc, po co pytasz?

 – Jeśli jesteśmy wolne, dlaczego trzymasz nas przy sobie, a nie rozpuścisz po domach?

 – Dlatego, że dla historii jesteście martwe.

 – Nie wierzę. Olga mówi to samo. A ja nie wierzę, że jeśli Koral urodzi dziecko, słońce od tego wybuchnie! Nie wierzę! Co, nie widziałam, jak ludzie się rodzą i umierają? Jesteśmy jakieś szczególne czy co?

 – Wyjdźmy, nie będziemy tu szumieć? – Wychodzimy na korytarz. – Wy jesteście najzwyklejsze, tylko ja szczególny. Nie powinno mnie tu być, rozumiesz? Jestem tu zbędny jak drzazga w dupie. Cokolwiek bym zrobił, zaszkodziłbym temu światu. Dlatego zaryłem się w ziemi i chowam się przed ludźmi. A wy zrobiłyście się zbędne dlatego, że, gdyby nie ja, wszystkie leżałybyście już martwe.

 – Więc teraz jesteśmy tu zbędne, a za pięć lat znowu staniemy się potrzebne, czy jak?

 – Za pięć lat moja babcia odleci z tego świata do innego, w którym urodzi moją mamę. I cokolwiek byśmy tu nie robili, już jej nie zaszkodzimy.

 – Od czego zaczęliśmy, na tym samym kończymy. Po co nas potrzebujesz? Jako zabawki?

 – Po co? A skąd mam wiedzieć? Zabijają was, kroją na kawałki, którymi rzucają we mnie. Po co was zabijają? Odpowiedz mi na to pytanie. No?

 – Jesteś taki dobry…

 Idę przez korytarz gdzie oczy poniosą. Chlaszczę ogonem po ścianach. „Jesteś taki dobry…” dzwoni mi w uszach. Idę tak długo, aż wpadam na kuter. Do diabła! To wszystko mi się tak sprzykrzyło! Położę się w anabiozę i niech sobie żyją jak chcą… Nie mogę. Nie mam prawa. Boję się. Tak nas wszystkich myśl zamienia w tchórzy. Jesteś taki dobry… Tak nas wszystkich w tchórzy…

**Koniec**

1. W. Wysocki: Górska liryczna (z opuszczeniami). [↑](#footnote-ref-2)